KAMENA

miesięcznik literack

ROK II

№ 1

ROK II **KAMENA** NR. 1 (11)

MIESIĘCZNIK LITERACKI

15 WRZEŚNIA 1934 R.

SPIS RZECZY

STANISŁAW CZERNIK Poeci Lubelszczyzny . . str. 2
JAN BRZĘKOWSKI Kiedy . . . . „ 5
OLGA DAUKSZTA Babka Alona . . . „ 6
ANTONI MADEJ Z cyklu „Kształty" . . „ 7
PAWEŁ HERTZ Galary . . . . „ 7
CZESŁ. JANCZARSKI * * * . . . . „ 7
KAZ. AND. JAWORSKI Itinerarium . . . „ 8
KAZ. NAMYSŁOWSKI Miłość wysychająca . . „ 9
Z poezji serbskiej i chorwackiej . . „ 10
ARTUR RIMBAUD Komedja pragnień . . „ 13
MAR. CZUCHNOWSKI Od estetyzmu do proletarjatu „ 14
JENS PET. JACOBSEN Doktór Faust . . . „ 17
Jest pustka w mojej duszy . „ 19
Noty . . . . . „ 20

Wkładka lin. Z. W.: Fragment z Górki Katedralnej w Chełmie

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski Wydawca: Zenon Waśniewski

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezecki

Redakcja: Chełm Lubelski, Reformacka 43. Redaktor przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Administracja: Zenon Waśniewski, Chełm Lubelski, Reformacka 15 B.

Prenumerata roczna 10 numerów 4 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 25 gr.

Cena numeru pojedyńczego 50 gr.

Tłoczono w drukarni „Kultura" Chełm Lub. 10.

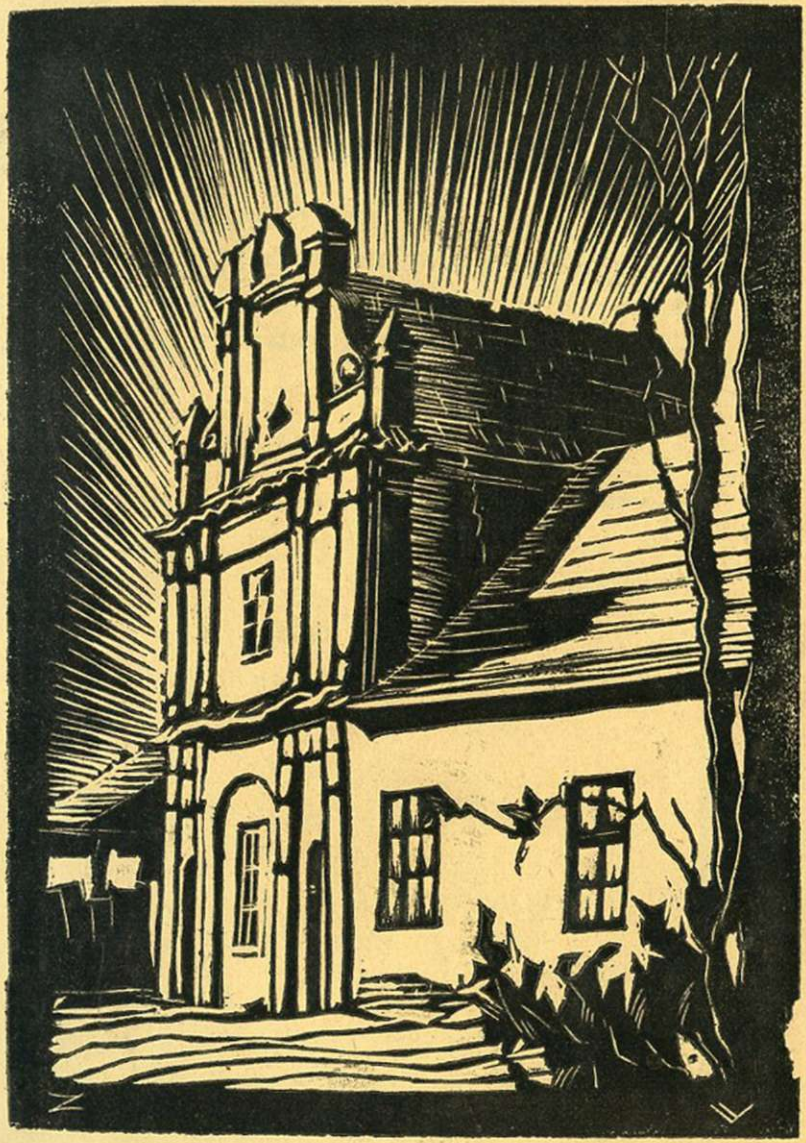

kamena

miesięcznik literacki

chełm lubelski

rok II 15 września 1934 r. nr. 1 (11)

CIENIOM
NIEZMORDOWANEJ PRACOWNICY OŚWIATOWEJ
TRUDOM
ZASŁUŻONEJ PIONIERKI NAJNOWSZYCH
ZDOBYCZY PEDAGOGICZNYCH
SERCU
WSPÓŁCZUJĄCEJ NIEDOLI SPOŁECZNICZKI
DUSZY
ZAWSZE MŁODZIEŃCZEJ ŻYWO REAGUJĄCEJ
NA PIĘKNO
Ś. P.
DR. JADWIGI MŁODOWSKIEJ
DYR. SEMINARJUM NAUCZ. ŻEŃSK. W CHEŁMIE
PRZEWODNICZĄCEJ ODDZIAŁU CHEŁMSK.
ZWIĄZKU WSZECHSŁOWIAŃSKIEGO
HOŁD SKŁADA
REDAKCJA I WYDAWNICTWO „KAMENY"

POECI LUBELSZCZYZNY

1

Gdy myślę o właściwościach „klimatu poetyckiego“ Lubelszczyzny, przypominają mi się utyskiwania „szlachetnie urodzonego, zacnego i uczonego rycerza Imć Pana Filipa Sidney'a", który nakrótko przed Miltonem i Szekspirem zastanawiał się, czemu Anglja „stała się taką surową macochą dla poetów, którzy z pewnością genjuszem swoim przewyższają wszystkich innych, albowiem wszyscy inni z nich biorą początek". Podobny okres nieprzychylności społecznej dla poetów, zresztą powszechnej dziś w Polsce, przejawia się w Lubelszczyźnie w specjalnie ostrej pod niektóremi względami postaci. Sprzyja temu brak poważniejszej tradycji poetyckiej, koniecznej dla powstania atmosfery zrozumienia, czem jest i jaką funkcję wypełnia poeta. W przeciwnym wypadku współżycie poety ze społeczeństwem nabierze charakteru nieporozumień, i łatwo może się zdarzyć, że społeczeństwo, jak niegdyś w Anglji Sidney'a, okaże się dla poety naprawdę „surową mocochą". Współcześni poeci Lublina zapoczątkowują dopiero przyszłą tradycję nie bez bolesnych dla siebie doświadczeń. Może w innych okolicznościach doświadczenia te byłyby mniej dramatyczne. Ale lubelski świat poetycki pozostaje pod wpływem ducha szlachetnej żeromszczyzny, prowadzącej do nieuniknionego konfliktu z otyłem płazowatością społeczeństwem.

Mówiąc o braku tradycji poetyckiej w Lublinie, nie zapominajmy jednak o długoletniej, niemal jedynej przez lat zgórą trzydzieści przedstawicielce poezji w Lublinie, p. Franciszce Arnsztajnowej. Ten odosobniony przykład, nawet w połączeniu z szybko zapomnianym poetą przedwojennym Janem Iwańskim (autorem tomu wierszy „Wśród życia dróg"), nie daje jeszcze tradycji. Mowa o poetach lubelskich w liczbie mnogiej dotyczyć może tylko okresu powojennego.

2

Z przyzwyczajenia mówi się o odwiecznej walce obozu młodych z obozem starych. Poetycki Lublin zaczyna budować swoją tradycję od znamiennego współdziałania tych odległych od siebie światów. Jeden z najpotężniejszych mitów twórczych kultury zachodniej, mit przeszłości, połączył w przychylnej współpracy przedstawicielkę dawnej poezji, p. Arnsztajnową, z najtęższym reprezentantem awangardy, Józefem Czechowiczem. Maleńka książeczka p. t. „Stare kamienie" jest u nas chyba jedyną tego rodzaju „arką przymierza".

Franciszka Arnsztajnowa, jako autorka dwóch seryj poezyj, posiada znaną pozycję w grupie poetów Młodej Polski. W okresie wojny poetka występowała w roli barda polskiego czynu wojennego. Rezultatem tego był wydany w 1924 roku zbiorek wierszy „Archanioł jutra". W ostatnich latach wiecznie młody duch poetki wykazał swą żywotność trzema tomikami wierszy p. t. „Odloty", „Duszki", i wymienione już „Stare kamienie". W „Odlotach", które zawierają utwory z lat 1902—1926, poetka wyraża takie życzenie: „Z pyłu i słońca ulepię światy, styl—niby lubelskiej izby". Lecz świat „Odlotów" ulepiony jest właściwie z glinki młodopolskiej, z barwnego, soczystego, urodzajnego lessu, dającego niebylejakie gatunki pszenicy. Ziarna tej złocistej pszeniczki przedwojennej, dziś już naogół niejadalnej, doskonale przechowały się w „Odlotach". Książkę należy traktować jako summarjusz, zamykający dłuższy okres twórczości poetki. Cytowane wyrażenie o stylu lubelskiej izby stosuje się raczej do następnych wydawnictw. W „Duszkach" poetka wyzwala się z pod sugestji młodopolskiej. W tych wierszykach, przeznaczonych dla dzieci, spotykamy piękne fragmenty wyzwolonej z niewoli poezji. Taki jest np. wiersz „Żniwo". Zapowiedź zainteresowań regjonalistycznych urzeczywistniła się w „Starych kamieniach", w których poetka wyraziście podkreśliła swą łączność duchową ze współczesnością, przedstawiając język poetycki dzisiejszy, uwolniony od anachronizmów młodopolskich.

3

Historję poetyckiej Lubelszczyzny w liczbie mnogiej otwierają dwaj poeci, raczej przygodnie z samą stolicą regjonu związani: — Kazimierz Andrzej Jaworski i Tadeusz Bocheński.

K. A. Jaworskiego prześladuje początkowo jakby kompleks niższości. Może być doskonałym przykładem dla znanej tezy Benedetta Croce „każdy jest poetą". Czuje się poetą w krainie swoich marzeń na jawie, w samotnem zetknięciu się z przyrodą wiejską lub w obliczu gór. Pod wpływem takich „freudowskich" nastrojów poeta oświadcza: „nie jestem poetą" lub usprawiedliwia się: „wybaczcie mi wielcy, i sławni poeci, że obok was dziś staję ją — poeta lichy". Wyszczególniony kompleks łączył się początkowo ze swoistym werteryzmem i refleksami przedwojennego dekadentyzmu. W rekonstrukcji przemian poetyckich Jaworskiego szczególną uwagę należy zwrócić na przymierze poety z górami. Świat górski przyniósł poecie potwierdzenie postawionej na początku Croce'owskiej tezy. „Tutaj wszyscy są poetami, tutaj wszystko liryką tchnie i serce dzwoni wierszami, kiedy człowiek po skałach się pnie". Tam poeta rozstaje się z poprzednią niekonsekwentną melancholją i młodopolską tęsknotą do śmierci, poznaje wieczność, pragnie przezwyciężyć czas i trwać. Światopogląd poety nabiera wyrazistości („Więcierze"). Poeta czuje się maleńkim kosmosem, który chciałby rozszerzyć i narzucić nie-niewolniczo światom innym. Program barwny i mozaikowy: nieco trubadurska rycerskość i russowski kult pierwotności, rewolucjonizm i wagabundyzm, republikanizm i socjologizm, panteizm i geografizm znaczą się, jak złocone płytki, z których się składa oblicze poety. Jest to mozaika więcej przyswojonych, niż samodzielnie wydobytych barwności, jako wyraz okresu przejściowego, okresu zbliżania się do selekcji. Wszystko to zresztą pochodzi jeszcze z okresu z przed 1932 roku, kiedy w poezji naszej było najbardziej płazowato i ciemno. Zwraca uwagę wcześnie zaznaczona skłonność do autentyzmu, oparta na mocnym murze przeżyć młodości i dzieciństwa. Skłonność ta przyniosła najpiękniejszy w pierwszym tomie wiersz „Do rodzinnego miasta", a ostatnio niepospolity w zespoleniu „prawdy treści" z „prawdą formy" wiersz „Wtedy". Osobną kartę w twórczości Jaworskiego zajmują przekłady z poetów rosyjskich, zwłaszcza przekład wierszy Jesienina zdobył sobie powszechne uznanie. Obecnie gdy nad poezją naszą unoszą się pierwsze oznaki odrodzenia, idącego oddołu, Jaworski przyjął na siebie ciężar przedstawicielstwa idących przemian,— jako redaktor „Kameny" symbolicznie prawie w przedziwnej przypadkowości umiejscowił stolicę odradzającego się państwa poezji polskiej w prowincjonalnym Chełmie.

Tadeusz Bocheński jest autorem m. inn. prawie zapomnianej już „Mojej kantyczki". Kantyczka ta pełna świeżości, w miniaturowych, ładnie zestawionych obrazeczkach jest wyrazem łagodnego, uśmiechniętego, powolnego wyzwalania się z konwencjonalizmów poetyckich. Bocheński właściwie nie zrywa z niczem, ale chętnie przyjmuje cudze wynalazki, oryginalnie rozmieszczając je w wierszu, czasami niespodziewanie, jakby chciał wywołać dysonans. Liczne uwarstwienia, trochę beztroskie chwytanie się różnych manier daje w rezultacie jakąś smaczną marmeladę poetycką, mimo podkreślonych zależności niekoniecznie epigońską. Szkoda, że poeta nie wypracował ostatecznie własnego stylu, którego zalążki tkwią w każdym wierszu. Bocheński jest poetą słonecznym, poganinem w każdym calu. Charakteryzują go: słowiańskość i tatrzańskość, balladowość i orlandowość, erotyzm i nudyzm — wszystko w słońcu. Wyjątkowo spotykany poeta, który nie reprezentuje ani cienia niepokojów metafizycznych. Oczywiście taki poeta nie wyśpiewa pieśni bohaterskiej, ani rapsodu o charakterze społecznym. Bocheński widocznie odczuwa tę właściwość, pozostając ciągle poetą osobistych miniaturek. *)

*) Mówiąc o twórczości Tadeusza Bocheńskiego, należałoby jeszcze podkreślić jego piękne przekłady z poezji greckiej („Tarcza Heraklesa" Hezjoda, „Hymny" Homera) oraz francuskiej (gotowy do druku tom sonetów Heredji) Przyp. Red.

4

Dalszym szczeblem narastającej stopniowo drabiny „poezji lubelskiej" stała się grupa, skupiona przy czasopismie „Reflektor". Czasopismo należy zaliczyć do efemeryd, lecz nie pozostało bez znaczenia, jako wyraz startu kilku mocno ukonturowanych poetów.

Przedewszystkiem wysuwa się na czoło najtrudniejszy do scharakteryzowania Józef Czechowicz. Przy pierwszem zetknięciu Czechowicz wydaje się poetą mglistym, lecz wkrótce to wrażenie okazuje się złudzeniem. Może nadmieniona pozorna mglistość wynika ze swoistego daru poety zestawiania takich zjawisk, których w zwykłych, codziennych myślach nie łączymy. W istocie rzeczy Czechowicz jest typem poety o głębokiej filozofji natury. Jest w nim coś z jońskich metafizyków, jakieś połączenie heraklityzmu z pitagoreizmem. Zwłaszcza ten „pitagoreizm" jest może najbardziej charakterystyczną właściwością poety. Już w „Inwokacji" do pierwszego tomu widzimy tę znamienną „metafizykę" w postaci śmiało stawionych tez, szkicowanych praw, określanych norm — i kult cyfry. Początkowo ten mistycyzm jest raczej werbalny, zewnętrznie programowy, ale stopniowo pogłębia się, przechodząc coraz bardziej od zewnętrznych zaznaczeń do istotnego wnętrza wiersza, zaczyna stawać się samym wierszem. Od cyfry i liczby przechodzi do śpiewu i muzyki. Ostatni tom „W błyskawicy" jest już rodzajem poetyckiej „liry kosmicznej" lub „harmonji sfer". Ta znamienna ewolucja w kierunku coraz bardziej zorganizowanej, świadomie na liczbie opartej muzyczności jest już skończonym systemem. Może nawet sugestja liczby muzycznej posunęła się do pewnej jednostronności, widocznej zwłaszcza w motywice erotycznej ostatniego tomu. Pod przewagą tej sugestji skrywają się, zapewne chwilowo, ciekawie i charakterystycznie początkowo rysujące się niepokoje społeczne na rzecz roztargnień metafizycznych. Poeta o wielkiem bogactwie asocjacyj. Właściwe tego rodzaju poetom skłonności terjomórficzne przybierają u Czechowicza rzadko spotykaną postać, którą możnaby określić jako zoologizm tragiczny. Dręczące zagadnienie śmierci ilustruje sobie poeta na przykładach tragedji zwierząt i w bezwzględnym fatalizmie tego zjawiska odkrywa dla siebie pesymizm religijny. Potrzeba kultu znalazła przepiękny wyraz w liryzmie matrjarchalnym, zazwyczaj rzuconym na tło śpiewnej sielanki. Warto podkreślić niespotykane w tych warunkach skąpstwo poety. Ale nie namawiamy go do inflacji. Czechowicz posiada najbardziej prostą drogę swego rozwoju poetyckiego, co należy dziś do rzadkości. To niemal wyjątek — taka linja, biegnąca bez załamań od chwili startu.

Z „Reflektorem" złączone są również początki Konrada Bielskiego. Niestety poeta ten, ogłosiwszy sporo wierszy w czasopismach, nie zechciał zebrać ich w wydaniu książkowem. Pozostaje więc niedostępny. Pierwsze jego kroki scharakteryzował Czechowicz w „Kamieniu":

W wonnych snujących się dymach biegnie Konrad
gronami wina potrząsa tyrs wyciąga przed siebie
niesie go mądrość ostatnia radość stara i mądra
winem przez wino na winie po niebie.

Nie wiem, jak rozwijała się w wierszach wyrażona w cytacie skłonność poety do wizyj, opartych na winie i alkoholu. W poznanych przygodnie wierszach mogłem stwierdzić rodzaj mrocznego i złotego bizantynizmu, to jakiś alchemiczny barwistan, to balladowy fakiryzm. Na podstawie tych spostrzeżeń wnioskowałbym, że Bielski jest typem powojennego Micińskiego. Szczupłość obserwacyj nie pozwala mi jednak twierdzić tak bez zastrzeżeń. Szkoda, że Bielski jest takim kryjakiem.

Wreszcie warto wspomnieć o złamanem piórze Stanisława Grędzińskiego. Jego debjut „Parabole" posiadał wprawdzie wszystkie extraordynaryjności młodzieńczego nowatorstwa — papierowe draperje egzotyzmu, bezpodstawny geografizm, quasi-poe'owską fantastykę, nadzwyczajności seksualne — ale to nagromadzenie „okropności" świadczyło również o pewnym rozmachu, który skierowany na właściwą drogę nie byłby zapewne bez znaczenia.

(Dokończenie nastąpi)

STANISŁAW CZERNIK

KIEDY

kiedy
szare dni otwierają się niepewnem jutrem
a słońce ciąży za chmurami—szary bochen
zbiera się burą łuną nad Europą
zorza
perłowa—różowa zorza
gwałtowna jak usta

pożar
zagłębiem naftowem
i groza
od morza do morza
płonie
ropą Europa kapitał praca tłum —
chamy w Hawanie palą hawańskie cygara,
studenci o duszach prężnych jak rum...

tłum
z kart
Locarna wychodzi Briand i straszy
Wilhelmstrasse, quai d,Orsay, Wierzbowa
chowa
przyszłość zawoalowaną chmur

dyktatorze!
czerwony z Kremla, czarny i fioletowy z Rzymu,
brunatny z Berlina
wzniesieni nad Europą

z chłodu
genewskich procedur
głód
głód idzie i wódka, tłum i śpiew

kiedy
Cezary Baryka szedł na Belweder —

na Wallstreet, nad defiladą okien
niebo
zwisało nisko bure jak dola, rude jak dolar
a słońce, złe słońce, przaśny chleba bochen
rosło
w chwili dymiącej jak krew.

JAN BRZĘKOWSKI

BABKA ALONA

Brała codzień na ręce. Czasem całowała,
pierwsza mi pokazała błękit nieba, rzeki,
słońca pożar lipcowy, dzień znojny od spieki,
sierp wiszący na ścianie, przetak którym siała.

Była jakaś odwieczna, klechda z pergaminów,
modliła się po polsku, a klęła po rusku,
przed burzą dom kadziła bylicą, ostróżką,
zausznice nosiła z dwóch złotych cekinów.

Zrodziła dużo dzieci, chodziła zgarbiona,
przełamana w pacierzu od różnych boleści,
narzekała na żywot ciężki i niewieści,
i kołysząc mię, wiła nici na wrzeciona.

Zausznice błyszczały wtedy jak księżyce,
a sieć zmarszczek przy ustach chytra, migotliwa,
wyrzucała rybkami słowa niby dziwa:
sine, srebrne, czerwone, kłębki baśniolice.

— Niechaj zginę, przepadnę, jeśli tak nie było —
zaczynała Alona. — Tuż nad świętym Janem,
tylko łąki skoszono, pachło świeżym sianem,
gdy pokazał się w polu swą szatańską siłą.

Czerewiki miał żółte, złotem starem, kute,
i czerwony kazakin gorący jak ogień.
Podchodził do mnie cicho aż pod wioski progi
i w wiśniowy szedł sadek, na zieloną rutę.

Zapłakałam z radości. W oczach mi się ćmiło:
był jak święty Kazimierz, korolewicz polski,
na kolanach przepełzłam do niego pół wioski,
a on manił mnie rączką, ale go nie było.

Tylko wdali koszula kraśniała parobka
na parkanie wisząca i pachniała ruta,
i ktoś trzaskał nade mną udarami knuta,
tylko drogą przejeżdżał cyganionek Stiopka.

OLGA DAUKSZTA

Z cyklu: „KSZTAŁTY"

Wzgórza,
napewno wzgórza tam wdali,
całe niebieskie w chłodzie poranka.
Chodź, orzeźwi nas tchnienie
dojrzałe.
Dla nas to ład,
doskonałość ładu jedyna.
Kształty przybiera kobiece
myśl moja.
Oto pierś, którą kocham:
pocisnę brunatny guziczek,
otworzy się miłość.

ANTONI MADEJ

GALARY

Łodzie, barki szerokie, nabrzmiałe zmęczeniem godzin
spływały zwolna wieczorem do bladoróżowej przystani.
Jabłka mieniły się w wodzie, w przejrzystym, głębokim chłodzie,
aż srebrny płomień latarni wypukłą czerń łodzi poplamił.

Za miastem łąki szerokie, pagórki—piersi kobiece.
Cóż znaczą barki na wodzie znaczone cieniem odbłysku
wobec tych wiatrów pośpiesznych, co czerwień w zachodzie niecą,
wobec tych białych obłoków, płynących nad ziemią nisko.

Galary—białe obłoki—za dnia są inne niż w nocy,
a jabłka pachną inaczej nocami niżeli we dnie.

gdzież jest granica dnia, nocy, której nie umiem przekroczyć?
Galary—wiślane galary—odpłyńcie, nim północ zblednie.

PAWEŁ HERTZ

* * *

Gdy zielona nowina
drzewa i ziemię utka,
wtedy — nie wiem dlaczego — przypomina
mi się dzieciństwo:
jakiś staw pokryty rzęsą, dziurawa łódka,
wysokie czuby pokrzyw: ostry zapach i obawa;
pod płotem schowek w miękkiej, żółtej glinie,
dużo, dużo pokrzyw i jakaś bryczka
nieokreślono-żółtawa.
Wreszcie psie miękkie kudły u policzka.
Czereśnie kwitnące: słodki głowy zawrót —
i jakiś bardzo kochany kompot z rabarbarum.

CZESŁAW JANCZARSKI

ITINERARIUM

1

Skąpe zwykle jest słońce na chmurnem Podhalu,
lecz wtedy wyjątkowo był pogodny dzień.
Droga szła Gubałówką, opodal szpitala,
do nóg nam kładły smreki aksamitny cień.

Góry były tak blisko. Chłonął je nasz wzrok.
Na dobrze znane szczyty niebo słało jasność.
Trzymając się za ręce, zwalnialiśmy krok
i piliśmy radośnie Tatry jak swą własność.

I znowu naprzód wyżej. Jakżeż słońce ssie,
choć lekki wiatr osłodą jest spragnionym ustom
Nie śpiesząc się, powoli mijaliśmy wsie:
Ząb i Międzyczerwienne i śmieszne Miętustwo.

I dobrze nam tak było mimo letni znój
słonecznym iść słonecznie po słonecznym kraju
i myśleć: ten wał siny nasz jest — twój i mój,
jak nasz jest widniejący już Czarny Dunajec.

2

A potem to miasteczko. Więc jakaś gospoda.
W kuflu piwo niesmaczne. Chmielnej gwary gwar.
Czekam, czekam na ciebie, ociężała kłoda,
z nudów ścieka na papier mej gorączki war.

Wreszcie jesteś. Już piąta. Samochodu niema.
Trzeba nogi uskrzydlić. (Pociąg umknie — fakt!)
I pracować, pracować stopami czterema
i ubijać „cesarki" nudny, żmudny trakt.

A jednak nie zapomnę już tej szosy nigdy,
którą chyżo przeorał naszych kroków pług:
dymią wonią kadzidlną smereczane igły
i Fudżijamą płonie Babiej Góry stóg.

Mijamy wreszcie Ludźmierz. Nie bije nam dzwon
na Anioł Pański w białym poety kościele,
tylko chmurki się wspięły na anielski tron
żegnać słońce, co nisko krwawe smugi ściele.

Już ostatni kilometr. Dworzec. Nowy Targ.
I za chwilę w pociągu z dłonią twoją w pięści,
ze słowem, zmiętem w niemem rozchyleniu warg,
przetrawiam niedorzeczne, ukradzione szczęście.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

MIŁOŚĆ WYSYCHAJĄCA

Czemu się o mnie boisz, bracie?
Z chmur ciągle krzyczą sine, rozdeptane usta.
Nie zapomnę nigdy błękitu w oczach
roztrzaskanego na strzępy.

Marjo!
Twoje kwiaty nie dla mnie,
twoje kwiaty duszą jak szarpiący gaz.

Marjo! —
napróżno przychodzisz do mnie
w szumie wyblakłych perfum.
Dawniej
sycił rozbiegane palce
przepych twoich piersi:
niespokojnych róż...
W za słabych rękach nie zatrzymam tamtego nieba!
W dłoniach tak dużo nędzy.
Twoje oczy
dlaczego ciągle te same?
Z roboty przecież wracali głodni,
przed tobą do mnie przynieśli swoje suchotnicze twarze,
w twarzach nie było słońca.
Widziałem:
same łzy zgarniali do spragnionych rąk...

a twoje słowa
Marjo
ciągle te same...

W górze me oczy:
szklane ziarna tęsknot
po obłokach rozrzucane długo.
Dalej już nie powiodą mnie twe ślady
i nie wymówią bzu
pachnącego
jak miłość.
Nad obszarami z głodu nie trzeba słowiczych słów!
Zamknij już łzami przekłute powieki.
W krwawiące żyły
pożółkły, gryzący świst wiatru.
Nie całować mi dzisiaj kryształowych warg.

W seledynowych kieliszkach nie podam ci więcej,
tylko smutek.
Czekam na wiatr, którego nie znasz.
W snach
jak ja
zapomnisz oczu.
Nie patrz.

W tej
słabej od chorych kroków
ciszy,
gdy krtanie ściskał obłąkany ból,
za drogo się płaci za miłość.

Miłość wysycha nam w piersiach.

KAZIMIERZ NAMYSŁOWSKI

Z POEZJI SERBSKIEJ

*
* *

Pustynia leży długa i szeroka —
Wieczór, lśni zachód... wszystko płonie w blasku...
Lecz na niej głucho — tylko rozsypane
Szkielety jakieś widnieją na piasku.

Tak samo bywa czasem w ludzkiej duszy,
Gdy myśl pogodna błyśnie w swej jasności,
A nie oświeca już często niczego
Prócz cmentarzyska pustej bezkrajności.

JOVAN DUCZIĆ
Z serbskiego spolszczył Stanisław Papierkowski

*
* *

W cedrowej korze czytaj dziwne słowa,
Co o miłości mówią głosem niemym!
Oddawna słońce ogień na nie zlewa
I śpiewy ptasząt wciąż dzwonią nad niemi.

Ongiś, już dawno, przed wielu już laty
Na wzniosłych grzbietach szybkich dromedarów
Dwoje kochanków przybyło zdaleka
Tu z sercem pełnem miłosnego żaru.

Cóż ci ja o nich opowiedzieć mogę;
Bez słów przez życie swoje cicho przeszli:
„Miłość jest wieczna" wyrzezali w korze
I z pocałunkiem w zaświaty odeszli.

JOVAN DUCZIĆ
Z serbskiego spolszczył Stanisław Papierkowski

NOCNE RYMY

Miłuję noce w mglistym rozhoworze,
Chwile ich ciszy i burz ich porywy,
Ich czarne rzeki, gdy ciągną płaczliwie
Swoją pieśń ciemną i długą — do zorzy.

Każdy kwiat, kamień, fala, listek z góry
Szumi w tej pieśni i płynie i dyszy
I moja dusza w głębi jasno słyszy
To niewidzialne morze i ponure.

Jam jest część nocy. Nad wody i wzgórza,
Gdy ranne wiatry błogim szumem wtórzą,
Pogaszą wolno jej latarnie białe,

Zaszumi ona rozstania słowami
I twarz mą mroczną jak kwiaty i skały
Owija smutno oparem i łzami.

JOVAN DUCZIĆ
Z serbskiego spolszczył Zdzisław Kempf

I CHORWACKIEJ

ŚMIECH

Albańskie góry w blasku słońca dźwięczą
Białością śmiechu. Dołem śnieżnych zębów
Świeci się ostra rysa górskich zrębów
I płynie śmiech ze szczytów na przełęcze.
Wdole stopionem srebrem pluszcze morze.
Wiszę na perci nad bezmierną tonią,
Jednem uczuciem niewymownem płonąc,
Jak pożar, którym słońce tonąc gorze.
Czar śmierci piję z tak bliskiej głębiny —
Jak obłok ten, co w głębi morza ginie...
Pusto, bez grobu i ojczyzny własnej.
Zostać nie warto! Myśli same płyną,
Gdy w słońcu wokół gorzą szczyty jasno
I szumi w bezkres Adrji boleść sina.

SVETISLAW STEFANOVIĆ

Z serbskiego spolszczył Zdzisław Kempf

ROZSTANIE

Znów się przede mną bieli cesarski szlak,
niewyraźne perspektywy.
Idę!
W mem sercu ból
a dusza śpi.
Nade mną niebieskie łuki,
zimne, uśpione gwiazdy
i wiatry,
skłębione chmury
i mgły znużone, siwe.
Idę!
Nie rzekłem nikomu: z bogiem!
Nikt mi nie podał
swej ręki na pożegnanie.
Jestem obłokiem,
wiatr mię unosi,
okręt bez żagli.
Nigdy,
już niedosiężny
dla mnie zatoki daleki port.

Kłamstwem jest
jaskrawem, błyszczącem kłamstwem,
wszystko, co było:
miłość, ojczyzna
i księżyc, i noc, i gaj.
Dzieckiem marzyłem o świetle,
a w mroki wiedli mię nowe:
i Bóg —
i życie —
i druh —

Nie rzekłem nikomu: z bogiem!
Nikt też nie ruszył
swą ręką na pożegnanie.
Cząsteczki siebie, druhów i kochanki
w szczęściu zostawił.
Szczęśliwi!
A ja przez mękę idę i mrok.
Idę!

GUSTAW KRKLEC

Z chorwackiego spolszczył Stanisław Papierkowski

Z POEZJI CHORWACKIEJ

PÓŁNOC PRZED OKNAMI

Sam w tej nocy.
Całkiem sam.
Bez żony,
bez ciała ciepłego i ust czerwonych
i bez jej włosów.

Na stole blada świeca dogorywa,
żółty niepokój drży nad przedmiotami
i dusze toną w bezbarwnym śnie.

Mrok...
I cisza...
Na chłodne ciało padają minuty
jak wielkie krople czarnego dżdżu.
Ciszej!
Patrz, przed oknami stoi północ niby śmierć.

GUSTAW KRKLEC

Z chorwackiego spolszczył Stanisław Papierkowski

SOROR DOLOROSA

Siądź. Daj mi rękę... Gdy zmierzch w sadach prószy
I wiew zmęczonych dzwonów jęk przynosi,
Raz jeszcze dotknę ręką twoich włosów,
Lecz tak, bym uczuł słodycz bratniej duszy.
Serca spokojne będą, nieme usta;
I poczujemy w cichem wspólnem trwaniu
Coś, co nam droższe będzie w czas rozstania,
Niż było dla nas pierwsze szczęście puste.
Zda się, że płaczą ponad naszą głową
Wieczorne gwiazdy. Jak jedwab szeleszcząc,
Anioła smutku skrzydła nas popieszczą
I w cieniach duszy błysną światła nowe.
Wtedy dopiero moja dusza pocznie
Kochać ją właśnie, co nie będzie nigdy
Matką radości burzliwej i nikłej,
Lecz słodką siostrą mej boleści mrocznej.

VLADIMIR NAZOR

Z chorwackiego spolszczył Zdzisław Kempf

DRZEWA OLIWNE

Do ziemi gęste swoje korzenie wplątały,
W węzeł jeden zaplotły liściastą koronę,
Zębami burz i słońca dziko pogryzioną,
Podwójnem ścięgnem nagie głazy powiązały.
W rozpiętym pniu oliwy otulonej w cienie
Krzyczy ból, lęk i rozpacz siły uwiązanej,
Które w dzikiem pragnieniu mocy rozpętanej
Błagają o pęknięcie lub oswobodzenie.
A pień się przeciw tej potędze miota,
Przez narośl siłę swego wnętrza chce wyrzucić!
I naraz w walce wśród gałęzi — złoty
Zabłyśnie owoc, co rodzi balsamy —
Swą kroplę wonną, lek na wszystkie rany,
I gdy pachnąca spadnie, ból ukróci.

BOŻO LOVRIĆ

Z chorwackiego spolszczył Zdzisław Kempf

KOMEDJA PRAGNIEŃ

I

Myśmy twoi Dziadowie,
przodkowie!
Chłodny pot nas oblewa,
pot księżyca, zieleni.
Wino w sercach nam śpiewa!
Gdy słońca żar się pieni,
cóż czynić? Pić jedynie.

JA: Mrzeć, gdzie Barbarja płynie.

Myśmy twoi Dziadowie
z polnych pustkowi.
Woda szumi z pod darni,
wokół murów zamczyska
rów się wije daleko.
Zejdź do naszych śpiżarni
na jabłecznik, na mleko.

JA: Pić z krowami nad rzeką.

Myśmy twoi Dziadowie,
słuchaj, nikt się nie dowie:
mamy w szafkach likiery.
Kawa, rzadka herbata,
zioła w szklankach się parzą.
— Spójrz: obrazy i kwiaty.
Powracamy z cmentarza.

JA: Osuszyć wszystkie urny!

II

O, modre świtezianki,
wijcie z wody mi wianki.

Venus, siostro niebiosów,
wzburz fale wodnych włosów.

Żydzi błędni z Norwegji,
opiewajcie mi śniegi.

Drodzy, starzy wygnańcy,
mówcie, jak morze tańczy.

JA: Dość tych klarownych napoi,
wodnych kwiatów do szklanek.
Już dziś mnie nie napoją
legendy zasłyszane.

Pieśniarzu, twą chrześniaczką —
nią gasić chcę pragnienie.
Tajna hydra — zjadaczka
troską czoło mi cieni.

III

Pójdź! Fale miljonowe
brzeg zalewają winem.
Patrz, to Bitter surowy
rwie z wyżyny lawiną.
Pijmy, mądrzy pielgrzymi,
absynt zielenią się ściele.

JA: Dość już, dość tych obrazów!
Czemżeż szał, przyjaciele?

Wolę raczej sam jeden
gnić na dnie stawów szklistych,
pod chmur straszliwym kremem,
w pobliżu drzew cienistych.

IV

Może Wieczór mnie spotka,
gdy zasiądę przy winie
w jakiejś starej mieścinie,
potem przyjdzie śmierć słodka:
dziś czekam — nic nie czynię.

Gdy już zło się ustoi,
będę złota roztwońcą,
czy wybiorę kraj słońca,
czy gdzie drzewa śnieg stroi?
Ach, marzyć nie przystoi.

Niechaj! Czas to stracony!
A gdy się tam zasmucę,
z włóczęgi już nie wrócę
do oberży zielonej,
lecz pójdę w inne strony.

V

Gołębie, co skrzydłami na łące trze-
[pocą,
zwierzęta na swobodzie, zwierzęta
[w niewoli,
drapieżce polujące i widzące nocą,
motyle mrące — także pragną pić
[dowoli.

Lecz utonąć, gdzie chmury te samot-
[nie toną,
— o, młody oblubieńcze rzeźwiącej
[świeżości!
I umrzeć w lesie tam, gdzie mokre
[fiołki płoną,
na które jutrznia sieje blaski z wy-
[sokości!

ARTUR RIMBAUD

Z francuskiego spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

DO ESTETYZMU DO PROLETARJATU

Trzy głosy, związane z artykułem „Uspołecznione eksperymenty," wśród których rewelacyjny Stanisława Czernika, pozwalają mi na jeszcze jedno dojście do sporu. Czechowicz widzi (№ 8 „Kameny") w próbie podporządkowania poezji pewnemu określonemu klasowemu światopoglądowi—uspołecznione absurdy. Ten kąt widzenia nie jest nowy. Charakteryzuje on 95% pisarzy polskich, nastawionych do dziejów idealistycznie. Ten idealizm jest wrośnięty korzeniami w epokę zachodnio-europejskiego mistycyzmu społecznego, w ostatnią fazę kapitalizmu.

Mistycy, metafizycy, spirytualiści bronią karnie swych granic przed inwazją materjalizmu naukowego. Czechowicz, będąc z nimi, bierze objektywnie odpowiedzialność nietylko za siebie, swoją poezję, ale również za faktyczne następstwa wyznawanej ideologji mieszczańskiej. Wcześniej czy później poezja, tworzona przez niego, upodobni się logicznym biegiem rzeczy do błyskotliwego bukietu nieżywych kwiatów, tracąc pierwotne nici z walczącą ziemią uciskanego chłopa i robotnika, z jedynem pulsującem źródłem dobrej poezji prawdy i twardego, prawdziwego bytu. Pisarze, subjektywnie i objektywnie nie opowiadający się za jedną czy drugą stroną społeczno-kulturalnej barykady, muszą chyba zawiesić swe olśniewające bagaże w powietrzu. Gdyby można wbrew prawom społecznej fizyki zająć tego rodzaju pozycję — taką pozycję właśnie nazwałbym „czystą poezją" w rozumieniu czechowiczowem. Nie rozwijam wszystkich teoretycznych uzasadnień dla wykazania absurdalności tego stanu poetyckiego, jaki da się tylko pomyśleć, ale nie istnieje w rzeczywistości. Byt jego jest raczej regulowany pomyślanemi warunkami idealnemi, a nie materjalnemi, zamkniętami obecnością skondensowanej rzeczywistości.

Czechowicz mianuje mię wrogiem poezji; artykuł mój jego zdaniem „jest jednem z ogniw kampanji przeciw poezji". Nie będę się bronił; jestem wrogiem 95% obecnej poezji w Polsce. Jedno: Czechowicz przesiąkł niezdrową atmosferą spekulacyj filozoficznych „Zetu". W jego języku krytycznym znaleźć można wiązki terminów o wybitnej mętności pojęciowej; surowy skład nieuporządkowanego jedwabiu. „Ja i szereg poetów upieramy się przy estetycznych walorach i kryterjach w poezji.... dlatego nie możemy uznać elementów układu społecznego za coś hierarchicznie wyższego od istoty bytu". Tajemnicza „istota bytu" zmąciła tu autorowi „Kamienia" jego istotną świadomość. Ocena estetyczna, tak samo jak polityczna, ekonomiczna, może być

przedmiotem naukowego poznania materjalistycznego i jako taka właśnie ważona detalicznie w swej treścioformie socjalnej. Ostatnie zdanie marginesu Czechowicza naładowane jest nabojem z mojej poetyckiej strzelby z przed lat pięciu: „Zarówno mi obojętni tragarze ducha, jak pasterze ciała". Istotnie, jest w moim „Poranku goryczy" taka wypowiedź, która wówczas skreślała jasno moje w tym czasie stanowisko poety. Czechowicz mi tem wspomnieniem subtelnie w oczy przyświeca. Dziś jużbym tak nie napisał. Zresztą w moim wierszu miało to sens zupełnie inny; chodziło o co innego. „Poranek goryczy" był wybuchem dwudziestoletniego chłopca i niech Czechowicz będzie przekonany: nie była to najlepsza moja poezja, jak sądzi ogół poetów.

W tem wszystkiem są godne podkreślenia ciekawe transformacje, którym podlegają poeci. Czechowicz wrócił dziś od „Kamienia" na moje stanowisko z przed pięciu lat, zajęte w części „Poranku goryczy". Ja od awangardowego estetyzmu doszedłem do poezji proletarjackiej, przez „Reportera róż", „Tak" do eposu chłopskiego „Trudny życiorys". Dwie drogi. Moja skromna droga, Czechowicza wielka „Droga". Jakżeś odległa od „Kamienia".

Zostawiając świetne, oddawna jak białe kruki w całej naszej krytyce analizy Czernika do nadarzającej się szerszej sposobności, chcę tylko w związku z tomem „Tak" i jego surową krytyką ugasić ocenę Czernika wyrażeniem zgody na nią. Chropowatość formalna „Tak" znajduje swe uzasadnienie w charakterystycznej linji mej pracy poetyckiej. Osobiście tego tomu nie bagatelizuję, choćby dlatego, że tak już nigdy więcej pisać nie będę. Buntarska forma zbioru wynikła z rewolucyjnego zerwania z wieloma przesądami awangardowemi. Aby tym, co się naprawdę temi sprawami zainteresują, umożliwić orjentację w mojem stanowisku wobec poezji i poetów, dołączam notę bibljograficzną. *)

Przyboś w marginesowym wypadzie zarzuca mi upieranie się ongiś przy pośredniości. O ile tak było, fakt ten wypływał z kilku istotnych przyczyn. Gdy one zniknęły — zniknął automatycznie postulat pośredniości. Dzisiaj, kiedy każdy poeta pisze „pośrednio", a pod tym aksamitnym płaszczem ukrywa poślednie wiersze, pośredniość dobra jest dla dzieci. To trzeba wyjaśnić.

Okres futuryzmu wywołał do spółki z epigonami Młodej Polski ze „Skamandra" groźną falę niechlujnej bezpośredniości, która wymagała ze strony czujnych poetów hamulca. Tym hamulcem był postulat pośredności. Kiedy zaczynałem może

najbardziej bezpośrednim w całej poezji awangardowej tomikiem p. t. „Poranek goryczy", byłem mimo to teoretycznym obrońcą pośredniości. Atoli dlatego, że moja bezpośredniość była absolutnie inna, niż np. skamandrytów. Dzisiaj, kiedy żądanie pośredniości jest nieistotne, bo nowa bezpośrednia forma wyzwoliła nową bezpośrednią treść, uprzednie nasze żądania były słuszne, aczkolwiek dziś ich znaczenie jest czysto historyczne.

Łącznie ze zmianami w świecie ludzi, usług i rzeczy, zmieniła się — poezja i jej nowoczesna teorja. I choć terminy naukowe zostały (forma), zmieniła się ich zawartość (treść). Pośredniość pseudoklasyków a awangardy to dwie różne pośredniości; bezpośredniość realizmu z przed 25 lat a obecna bezpośredniość poezji chłopsko-robotniczej—to dwie zwalczające się siły, to dwa odrębne i nowe światy, aczkolwiek w teorji poezji oznaczane bywają jednym i tym samym terminem. Mutacje dziejowe mają swoją maksymalnie lub minimalnie prawdopodobną prawidłowość skoków, wciąż nagłych i nieoczekiwanych.

Mowiąc o dzisiejszej bezpośredniości, oddzielamy ją od młodopolskiej laksy o całą epoką. Terminy i język współczesnej krytyki sztuki wymagają jeszcze ostrzejszej rewizji, niż sama sztuka. Im ściślejsze narzędzia poznania naukowego, tem poznanie dokładniejsze. Mierząc dzisiejszą subtelnie nową sztukę staremi, niedokładnemi szablonami, postępuje się tak, jakby zapach róż chciał ktoś mierzyć.... średnicą egipskich kanałów.

MARJAN CZUCHNOWSKI

---

*) NOTA BIBLJOGRAFICZNA: —

„EUROPA", W-a 1930; „Pauperyzacja poezji" (nr. 8), „Poezja ziemi" (nr. 10), „Papierowe futra" (nr. 13).

„ROBOTNIK", W-a, 1933; „W środek rzeczy", 4 odcinki, (nr. 6, 8, 11, 14), „Konsekwencje niekonsekwencyj" (nr. 117), „Przeciw Żagarom" (nr. 140), „Wgłąb awangardy", 12 odcinków, (nr. 260, 261, 266, 267, 269, 270, 274, 275, 284, 285, 295, 297,), „Spowiedź uniwersalisty" (nr. 416, 417,).

„NOWE PISMO", W-a, 1933; „Co i jak?" (nr. 12), „Jaśniej!" (nr. 14) „Treść odpowiedzi" (nr. 29), „Dwa oświadczenia i jeden kwit" (nr. 50), „Demaskuję utrzymankę" (nr. 70), „Drogi na bezdrożach neutralności" (nr. 74, 75,).

„LWOWSKIE WIADOMOŚCI MUZ. i LIT.", L-w, 1933; „O nową poezję i nową poetykę" (nr. 76).

„WIEŚ, JEJ PIEŚŃ", Naprawa k| Jordanowa, 1934; „List dyskusyjny" (nr. 2), „Przez masy dla mas" (nr. 3 — 4), „Wyrażając świat pracy" (nr. 5), „Zakładanie: i uprawa terenów (nr. 7), „Nowa wieś" (nr. 8).

„CZERWONE ŚWIATŁA", W-a, 1934; „Uderzamy osobno" (nr. 5).

DOKTÓR FAUST

Wąwozem przez las jechał rycerz.

Po obu zboczach stały wyniośle wielkie drzewa i pięły się ku górze, dopóki najwyższe ich szczyty nie dosięgły słońca, ale wdole było ciemno i wielka była skąpość światła.

Wiatr wiosenny ciężko, podmuchami, szedł przez wąwoz.

Rycerz również ciężko posuwał się naprzód, a wlókł za sobą wielką kosę, której błyszcząca klinga krajała czarną ziemię.

Koń, który go niósł, był bladożółty, on zaś sam siedział starczo pochylony w siodle, w pływających fałdach szerokiej, czarnej szaty, z jedną chudą, białą ręką na lejcach, z drugą chudą białą ręką naokół drzewca kosy.

Wzrost jego był ponad miarę ludzką, a w oczach jego nie było białek, jeno sama czarność, która widzi.

A gdzie stąpnął koń jego, tam powietrze napełniało się wilgotnym, ostrym oparem, idącym od mokrego, uschniętego listowia, które butwiało, od ziemi, która gniła, od pni drzewnych, które rozsypywały się w próchno, i od mchów, rozpadających się w pył. A z wysokich drzew obrywały się stare suche gałęzie i spadając, robiły hałas, po którym nastawała cisza tak wielka, iż zdawało się, że uderzenie kopyt końskich jest jedynym dźwiękiem na świecie.

A oto uderzenie jeszcze jednych kopyt, gdzieś daleko poza nim.

Zatrzymał się, nasłuchując, poczem kiwnął głową, jakgdyby coś zrozumiał i pojechał dalej.

Po dłuższej chwili drugi rycerz ukazał się oczom na kasztanowatym koniu.

I on również był większy, ponad miarę ludzką, wyglądał jednak jak chłopak dwudziestoletni, z jasnym puszkiem, okalającym gładkie policzki i pełne, uśmiechnięte usta.

Ubranie jego było w połowie ze zgrzebnego płótna, w połowie z purpury królewskiej; lecz jego wysmukłe członki wynurzały się w olśniewającej swej nagości i z pod zgrzebnego płótna i z pod królewskiej purpury — pogańsko nagie. Albowiem był to Amor, tak, on to był właśnie, ten młodzieniec w lokach, piętrzących się nad jego czołem jak złote wióry; na jego plecach wisiał kołczan ze strzałami, a mocny łuk miał przymocowany do grzywy końskiej.

I gdzie stąpnął koń jego, tam paprocie podnosiły z nad butwiejącego dna brunatne skrętki i rozwijały je, zgniłe listowie ożywiało się żółtemi i białemi pędami, a tysiące kiełków otrzą-

sało się z uśpienia; wczesne kwiatuszki jęły niebieszczyć się w cieniu liści zimowych, pączki na drzewach jaśnieć, nabrzmiewając nad jego głową, chmary wędrownego ptactwa nadciągać, jako czarne znaki na szaroniebieskiem niebie.

Amor zrównał się ze starym z kosą. Skinęli sobie głowami i pojechali razem przez wąwóz, nie rzekłszy ani słowa, a gdy droga wyprowadziła ich z lasu i zabrała ze sobą przez pole na przełaj, ku Drodze Szlacheckiej, i gdy ujrzeli przed sobą wielki gród z brunatnemi dachami, z szaremi, dumnie wzniesionemi wieżycami i złotem połyskującemi wieżyczkami, — znów kiwnęli ku sobie głowami, tym razem z uśmiechem.

I pojechali dalej Drogą Szlachecką, wijącą się przed nimi szaro i szeroko, gubiącą się jednak coraz bardziej woddali, póki, jak cienka jasna nić nie wpadła wreszcie w czarne oko jednej z czerwonych bram miasta.

Jechali wciąż dalej.

Od wewnątrz, tuż przy bramie, znajdował się wielki pusty sad z powykręcanemi jabłoniami, a w nim dom, spiętrzony dachami, tworzącemi długie, strome zbocza z cegieł mchem porośniętych, z wielką ilością czarnych kominów, które podparte były między sobą żelaznemi sztabami i silnie naciągniętemi łańcuchami.

Tu się zatrzymali.

Na wschód wychodziło okno, tak wielkie jak brama, i jak nieskończona tafla malutkich w ołów oprawnych, szklanych sęczków. Było szeroko rozwarte i przyczepione do muru, a w wielkim jak odrzwia otworze stał doktór Faust i wyglądał ku drodze, tam gdzie, jak wiedział, był las i wąwóz.

A Śmierć i Anioł podjechali pod okno, niewidzialni, nie rzucający żadnego cienia.

I zatrzymali się tu oto, więksi ponad miarę ludzką, a wiatr powiewał czarnym płaszczem Śmierci i purpurą Amora, a wielkie ich konie wyciągnęły szyje do środka okna i zwiesiły ciężkie łby jakgdyby w półśnie, nachylając je nad księgami i pergaminami i gryząc wędzidło, tak że piana z ich pysków leciała płatami na czarne linje i jaskrawe inicjały manuskryptu.

Jedna myśl po drugiej coraz to silniej nawiedziała doktora Fausta, gdy tak stał oparty dłoniami o szeroką ramę okienną, z ręką ozdobioną pierścieniami przed pyskiem każdego konia. Światło wydobywało na jaw przejrzystą bladość czoła i twarzy i liczyło każdy włosek w jego ciemnej, kręcącej się brodzie.

Słyszalnie brzmiała każda myśl jego o tych dwóch niewidzialnych na dworze:

— Mam teraz czterdzieści lat, — rozmyślał, — dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat mogę jeszcze żyć, potem wszystko będzie skończone. I znów jest wiosna, i znów o jeden rok mniej pozostało mi do życia...

JENS PETER JACOBSEN
przełożył Józef Mondschein

JENS PETER JACOBSEN, najgenialniejszy mistrz prozy duńskiej, niedościgniony twórca, poeta i myśliciel. Napisał powieści „Niels Lyhne" i „Pani Marja Grubbe", opowieść „Mogens", i sześć „Nowel". Pozatem wiązankę „Poezji". „Doktór Faust" — jest ostatnią, niedokończoną pracą Jacobsena, arcydziełem iście Dürerowskim. Według notatki przyjaciela poety, Edwarda Brandesa, brata głośnego krytyka Jerzego, treść „Doktora Fausta" miała być w zamierzeniu Jacobsena, następująca:

„Śmierć przybywa po czterdziestoletniego Fausta, ale Amor prosi za niego i Śmierć darowuje mu jeszcze nowych 40 lat życia. Po upływie tego czasu Śmierć i Amor znów przyjeżdżają na koniach, by go zabrać. Zastają starca, któremu te lata na nic się już nie przydały. Siły jego były zużyte już 40 lat temu, a cała druga część jego żywota—była tylko życiem umarłem...

(Przyp. tłumacza)

JEST PUSTKA W MOJEJ DUSZY.

(Z rękopisu niedawno znalezionego i złożonego w Królewskiej Bibljotece w Kopenhadze)

Ręka, co strzymać mnie miała
Nad ciemnym szybem przepaści,
Ta, co jedynieby mogła
Na prostą sprowadzić mnie drogę —
Ta opuściła mnie właśnie!
O, więcej! Zepchnęła mię tobie,
Nocy, na łono.
Samem nie zdolen już wznieść się
Ku wiecznej krainie jasności.

JENS PETER JACOBSEN
Przełożył Józef Mondschein

Ostatnie słowa J. P. Jacobsena, skreślone na łożu śmierci: —
Lyset for Landet,
Det er det, vi vill!
(„Światła dla kraju —
Oto czego pragniemy".)

NOTY

DALEKIE SPOJRZENIE Jerzego Mieczysława Rytarda zasługuje na uwagę w pierwszym rzędzie za świetne nowele tatrzańskie: „Białe wieże", „Nie będzie ciszy tej nocy" i „Nieoczekiwane wzruszenia". Pierwsza zawiera opis wyprawy narciarskiej na tle pięknie skreślonego krajobrazu, druga niezmiernie sugestywnie materjalizuje potęgę wiatru halnego, trzecia — to pełen wdzięku obrazek przelotnych wzruszeń miłosnych, jakich doznał uczestnik raidu samachodowego w czasie krótkiego, przymusowego postoju (reperacja auta) na zakopiańskich Skibówkach. „Dalekie spojrzenie" — próba wniknięcia w przeżycia duchowe Conrada w okresie jego pobytu w Polsce, wydaje się mniej przekonywająca. Sądząc na podstawie „Koleby na Hliniku" i przytoczonych nowel oraz impresyj z „Balu jesiennego" i fragmentów z „Wniebowstąpienia", Rytard jest predystynowany na pisarza tatrzańskiego. To też należy się spodziewać, że po dotychczasowych próbach da większą rzecz, opartą na życiu w Tatrach. O walorach języka Rytarda zaświadczy przytoczone zdanie: „Seledynowa, migotliwa grań Czerwonych Wierchów dymiła rozkołysana niespokojnie, wybuchając zimną jaskrawością księżyca, to zapadając w ponury mrok, w ostre płaty ciemności, potęgujące chaos i dziwaczność tego wszystkiego, co się działo".

WALT WHITMAN znany był dotychczas w Polsce z „Trzech poematów" w tłumaczeniu Stan. de Vincenza. To też wdzięczność należy się Stefanowi Napierskiemu za piękne przyswojenie naszemu językowi większego wyboru utworów amerykańskiego poety (W. Whitman: 75 poematów, Tow. Wydawn. w Warszawie 1934). Mimo iż razi nas nieraz grandilokwencja Whitmana, jest on napewno dziś więcej aktualny, niż był przed 50-u laty. Oto ustępy ze „Strumieni jesiennych", któreby w Hitlerji napewno uległy konfiskacie: „Więzienie, szafot, knebel, kajdanki na ręce, łańcuchy z żelaza i kule z ołowiu spełniają swoje zadanie... wielcy mówcy i pisarze wygnani są, trawią dni z tęsknoty za ojczyzną w krajach odległych... Ale mimo to wszystko wolność nie zeszła z placu". Przekłady Stef. Napierskiego poprzedza wnikliwa charakterystyka Whitmana, skreślona przez Stanisława Helsztyńskiego.

SOLO FLETOWE Romana Kołonieckiego to niewątpliwie jedna z lepszych tegorocznych publikacyj poetyckich. W porównaniu z „Kryształem młodości", nie mówiąc już o mało samodzielnej „Kosodrzewinie"— to zarówno osiągnięcie dalszego szczebla w drabinie techniki wierszopisarskiej, jak i zdobycz w kształtowaniu się oblicza duchowego poety. Znaczne pogłębienie w liryce miłosnej. Jak daleko odbiegł Kołoniecki od rozlewnego gadulstwa takiego np. „Listu" (z „Kryształu młodości"), w którym nigdzie nie opuścił kropki nad „i"! Tu nawet w dłuższych wierszach raczej skąpstwo wyrazu, raczej muzyka ściszeń i niedomówień, w efekcie dająca takie piękne erotyki, jak „Samotne lato", „Głód", „Noc lipcowa" czy „Do niewcyrskiej dziewczyny". Zaprawdę, „szósty klucz czerwca" otworzył nowy rok w twórczości poety! Bo i Tatry „domowe góry" pisarza, dość papierowe i retoryczne w „Krysztale", tutaj—zwłaszcza jako tło miłości — nabrały rumieńców choćby w tak plastycznem powiedzeniu: „kopyta przepłoszonych kozic odłupują od granitów echo, z kosówki czad południa dymi". Kołonieckiemu przydałaby się jednak, mimo znacznej poprawy pod tym względem w zestawieniu z „Kryształem", większa ekonomja słowa, którem często szafuje zbyt rozrzutnie. Większe skondensowanie niektórych wierszy napewno podniosłoby ich wartość.

Przekłady z Anny de Noailles — ładne.

WIEŚ — JEJ PIEŚŃ, organ Literatów Ludowych w Polsce, (Naprawa koło Jordanowa) to naprawdę pismo, godne uwagi już choćby przez to, że jest chlubnem świadectwem zmian, zachodzących w kulturze wsi małopolskiej. Wieś łaknie poezji, czyta wiersze, sama współpracuje w redagowaniu własnego miesięcznika literackiego— to naprawdę objaw wysoce pocieszający na tle ogólnej, zdawało się, obojętności dla poezji w Polsce. To nic, że siły pisarzy są jeszcze słabe, choć i tu zarysowują się już pewne talanty (A. Olcha). Współpraca w piśmie M. Czuchnowskiego jest dla rozwoju „Wsi" i podniesienia jej poziomu wysoce pożądana. Miesięcznik, zgodnie z uchwałami niedawno odbytego zjazdu Liter. Lud. stoi na gruncie klasowym i opowiada się za tworzeniem kultury chłopsko-robotniczej.

— kaj —

W Nr. 10 „Kameny" do artykułu Woł. Doroszenki „A. Mickiewicz w literaturze ukraińskiej" wkładły się następujące błędy drukarskie: na str. 191 i 192 kilkakrotnie zamiast „bibljografja" powinno być „biografja", na str. 191 Zamiast..... Kubak — Artemowski powinno być Hułak — Artemowski.

PISMA I KSIĄŻKI NADESŁANE

Biuletyn Polsko-Ukraiński Nr. 57 — 69
Lewar Nr. 8
Miecz Nr. 5 — 16
Nazustricz Nr. 11 — 16
Państwo Pracy Nr. 21 — 32
Pioń Nr. 22 — 34
Sygnały Nr. 8 — 9
Wieś, jej pieśń Nr. 2 — 9
Zet Nr. 5 (53) — 10 (58)
Życie Akademickie Nr. 1 (50) — 17 (66)
Dr. Juljan Krzyżanowski: Romans polski wieku XVI, Lublin, T-wo Przyj. Nauk, 1934
Marjan Czuchnowski: Trudny życiorys, Kraków 1934
Ł. Gomulickij: Warszawa, poemat, Warszawa 1934
Jadwiga Korczakowska: Za białą ścianą, Warszawa, Bluszcz
Paweł Zajcew: Szewczenko i Polacy, Warszawa, nakł. Biul. Pol.-Ukr.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. W. D. WE LWOWIE. Za błędy w przekładzie artykułu, powstałe nie z naszej winy, oraz za błąd drukarski w nazwisku pisarza przepraszamy bardzo. Jesteśmy wdzięczni za uprzejmie nadesłany artykuł.

P. O. D. W DYNABURGU. Dziękujemy ślicznie. Sonety pójdą w następnym numerze. Prosimy o nas nie zapominać.

P. PAW. H. W WARSZAWIE LUB ZAKOPANEM. Przeczytalibyśmy chętnie przekłady Pana z współczesnej poezji niemieckiej (emigracyjnej). Może Pan tłumaczył Tollera? Za szczere życzenia dzięki serdeczne.

P. S. B. W POZNANIU Radzibyśmy zapoznać się z wierszami Pana i przekładami z włoskiego.

P. M. S. W GRUDZIĄDZU. Z wierszy nie skorzystamy.

P. W. PIET. W WARSZAWIE. Wiersze pójdą. Godząc się w zasadzie na wysunięty przez Pana projekt, szczegóły omówilibyśmy po wyklarowaniu i sprecyzowaniu przez Panów propozycji.

P. Z. K. W KRAKOWIE Dziękujemy bardzo za materjał do kolumny serbsko-chorwackiej.

CZYTAJCIE MŁODĄ PRASĘ LITERACKĄ

W połowie września ukaże się w Lublinie pierwszy numer miesięcznika „Dźwigary", poświęconego sprawie polskiej kultury proletarjackiej.

Redaguje Józef Łobodowski przy współpracy najwybitniejszych przedstawicieli polskiej lewicy literackiej i publicystycznej.

Numer zawiera 96 stron. Cena 1 zł. 50 gr.

Wrześniowy numer „Sygnałów", organu młodych literatów lwowskich, będzie w całości poświęcony kulturze Lwowa. Współpracują prawie wszyscy pisarze lwowscy starszej i młodszej generacji.